ROK X. WARSZAWA, 15 MAJA 1921 R. ZESZYT IX.

PLACÓWKA

KULTURY I SZTUKI

Na beczce prochu.

Europa, a wraz z nią i odrodzona wśród kataklizmu historycznego Polska, są jeszcze na beczce prochu. Marszałkowie Francji umieli zwyciężyć na polach bitew, dyplomaci Ententy wprowadzić Europy w trwały stan pokojowy nie umieli. Rządy, znajdujące się jeszcze we władzy umysłów zmurszałych epoki przedwojennej nie rozumieją nowego stanu rzeczy. Stare miotły są zupełnie zdarte, a kup śmieci nie uprząta się, zatem te kupy rosną.

Utworzenie Polski politycznej nie było ani sentymentem, ani łaską, ale koniecznością dziejową, jedną z trwałych gwarancji pokoju europejskiego. Jeżeli trybunał pokojowy Ententy tę konieczność uznał, należało postępować konsekwentnie i dźwigającemu się nowemu ciału politycznemu wszelkiemi siłami do rozwoju dopomóc. Tymczasem zamiast planu celowego, wynikającego z postawionych założeń, widzieliśmy nieustanne cofanie się Rady decydującej od traktatowych postanowień.

Podczas gdy Czechów zupełnie uwolniono od fatalnego dobrodziejstwa plebiscytów, gdy nowemu państwu czeskiemu niezwłocznie oddano duży okręg przemysłowy Czech zniemczonych, oraz całą Słowaczyznę, Polskę obdarowano plebiscytami w Kwidzynie, na Warmji, na Mazurach i na Śląsku Górnym. Jeżeli panowie dyplomaci chcieli w taki sposób przyśpieszyć pacyfikację Europy, zasłużyli na dyplom honorowy w międzynarodowym uniwersytecie Asinus Asinorum.

Dotychczas wojna wypadła na korzyść i na triumf międzynarodowemu żydowstwu, a krew aryjska zalała pola bitew

dla żniwa bachorów Talmudu. Ponura tragedja... Ale jesteśmy dopiero w pierwszych aktach.

Na Śląsku wybuchło powstanie ludowe, masowe w całem znaczeniu tego słowa, nie agitacyjne, ale żywiołowe. Walczą mężczyźni, kobiety i dzieci, naród... Powiedzmy: jest to pierwsze w dziejach nowożytnych Polski poważne powstanie polityczne, od którego rozpoczyna się nowy okres naszego bytowania. Po dawnych ruchach powstańczych pozostawało zawsze, jak mówi Słowacki: „smutne pół-rycerzy żywych“ i męczeństwo, i łzy, i pleśń grobów kojąca, ale bezsilna, jak księżyce wygasające. Tutaj i teraz, na Śląsku rozpoczęła się walka ras, walka, rozłożona na lata, może na stulecia, walka bez wytchnienia, ale jedyny sposób do bytowania wolnego. Polska przeszła Rubikon i znajduje się na tamtym brzegu cywilizacji europejskiej. I nie jest to bój „widm cmentarnych“, przy akompanjamencie żałosnych pieśni dziadowskich, ale bój słoneczny Arji ze smokiem.

Błogosławieństwo ci, ludu śląski, i opieka Światowida! Ty pociągniesz za sobą całą Polskę i odrodzisz ją i obmyjesz z brudu niewoli. Polska, poza traktatem wersalskim, potrzebuje koniecznie piorunu, wstrząsu moralnego, którego do dzisiaj jeszcze nie doznała. Bo to, co widzieliśmy dotąd i co przeżywaliśmy było szkaradą i słabością. Powiedziano: „Łazarzu wstań“, więc Łazarz wstał, ale się tak ruszał, jakgdyby przywiązany do śmiertelnego łoża.

Nad Odrą, nad Wartą, nad Gopłem powstało państwo Bolesławów i tam jest gniazdo polskości. Wszystko, co było płodnym czynem, aktem twórczym, siłą polską, było, jest i będzie tam. Tam żyje racja istnienia państwa polskiego. Jeżeli słusznie chlubimy się udziałem w cywilizacji zachodniej, tam jest jej serce i początek, stamtąd reguluje się krew, niosąca soki ożywcze na kresy wschodnie. Zabijcie serce, cóż pozostanie?

Mieliśmy i Bar, i Kościuszkę, i noc listopadową, i 1848, i 1863, ale czy był w tem lud? Prawie, że go nie było. To „prawie“ niosło w sobie pewność nieudania i zawodu. Jakgdyby galwanizowano umierające ciało i następował nowy okres rozkładu. I mogiły bojowników rozkopywały hyjeny. Powtarzam: pieśń dziadowska, żebrząca, zagłuszała hymn do słońca, więc jakież robactwo musiało się rodzić i płodzić?



Portret hr. Gr. Konrad Krzyżanowski.

T. Z. S. P. — Salon 1921.

I przez te lat półtrzecia, od czasu, gdy fala dziejów odrzuciła od nas Moskalów i Niemców, widzieliśmy z oburzeniem i niemal z rozpaczą dalszy postęp rozkładu. Ślepa, nieudolna, rozkładowa polityka ludzi, którym burza wypadkowo oddała w ręce wiosło łodzi państwowej, zwracała oczy Polski na Wschód. Tam!... gdzie kultura polska sześćset lat temu przewracała i kruszyła bałwany? Tam, gdzie dotychczas jeszcze i z dawną mocą gospodarzy Tamerlan i Batu-chan i niezliczonemi hordami, lęgnącymi się jak roje w stepach mongolskich? Tam poszukiwać siły?

To znaczy po warjacku rzucać się w przepaść. Ryzykować, bo się niema nic do stracenia. „Naplewat!?“

I to w tym czasie, gdy ogniska polskie nad Odrą i nad Wartą jeszcze strzeżone przez wartowników z pikelhaubą. Był czas w r. 1919, gdy z rozpędem młodzieńczym siły wyzwolonej z okowów, można było samemu, bez plebiscytów, wkopać słupy graniczne na Zachodzie i z zasobem sił gotowych rozstrzygać sprawę wschodnią według linji historycznej. Inaczej rozmawiałby dzisiaj z ks. Sapiehą i Lloyd-George i hrabia Sforza, a Francja wierzyłaby, że tam, za plecami Niemców jest siła porządkowa, na którą marszałek Foch może liczyć z przewidzianą matematyczną pewnością. Ta chwila już minęła i to, co wtedy można było wziąć sięgiem ramienia, dzisiaj brać trzeba walką, może długą, może bardzo krwawą.

Ale idźmy naprzód mimo wszystko i poprzez wszystko, jakkolwiek ciężka droga, jeżeli nie ma innej. Na żalach i rozpamiętywaniach, serca nasze straciły już wiele hartu. Mamy tę zdobycz moralną po romantycznem poetyzowaniu niewoli i po dekadenckiem rzucaniu się w odmęt chaosu międzynarodowego, bierzemy życie jako wieczną, odnawiającą się młodość. Może nie wszyscy, może jest garść zwyrodniałej inteligencji, ale cóż znaczy ta drobina w ogromnem morzu narodowem.

Więc powstał Śląsk polski, jako całość, jako żywioł, mężczyźni, kobiety i dzieci do walki narodowej. Powstał, zrywając sidła i sieci dyplomatyczne, w które pająki międzynarodowe zawikłały Polskę, jej rząd i jej politykę. „Patrzcie na Wschód“, tymczasem Hindenburg i Ludendorf odnowią swoje żelazne zastępy. Na nic. Anglja ma swoją Irlandję, a wszechpotężny rząd imperium, gdzie słońce nie zachodzi, jest wobec

niej bezsilny. Europa ma swój Śląsk. Konspirację można pokonać konspiracją, żywioł można opanować jedynie, skierowawszy jego prąd w kierunku naturalnego spadu.

Dla Polski powstanie śląskie jest zapowiedzią rzeczywistego odrodzenia. To mechaniczne klecenie państwa, niby kładzenie cegieł bez pionu, bez cementu i wogóle bez planu architektonicznego, jakie dotychczas szumnie nazywano budowaniem, musiałoby bez żadnej wątpliwości doprowadzić do katastrofy. W tej robocie, niby w przesypywaniu piasku z jednej kupki na drugą, nie było nic na serjo. Różni ludzie, dorwawszy się do władzy, prowadzili politykę nawskróś osobistą, a przedmiot, to jest żywe potrzeby narodu, zastępowała logomachja, to jest walka o wyrazy. W tym okresie, rzekomo „demokratycznym", „ludowym", nie było nic demokratycznego, ani ludowego. Przeciwnie, panowała obrzydliwa tyranja frazesu, a za nią zręcznie lub mniej zręcznie ukryty brutalny interes osób. Człowiek manifestacyjnie nie noszący kołnierzyka mógł być jednym z bogatych ludzi w kraju, a socjalista wyznawcą militarnego autokratyzmu.

Więc żarty z takim demokratyzmem i z taką ludowością, żarty ucieszne na terenie operetki, wcale nie zabawne na gruncie polityki. Nawet jeżeli przyjmiemy formułę: „mundus vult decipi", jako hamulec zapędów idealistycznych, miarę grubo przebrano. Humorystyczny rysunek przybrał postać potwornej karykatury. Wielu dostaje obłędu już nie w formie monomanji, ale w postaci zupełnej, klinicznej.

Wobec takiego to widowiska, któremu trudno dać nazwisko, Śląsk występuje z walką krwionośną, nieustępną. Burżuje i socjaliści, paskarze i złodzieje, dyplomaci i mężowie stanu dziwią się... lękają się... Co powie Ententa? Chyba świat się zawali...

Nic się nie zawali, chyba to, co się musi zwalić. Jeżeli kto przypuszcza, że o takie metody polityczne, jakie praktykują rządzący dyplomaci, obecnie na czele z taką zżydziałą osobistością, jak Lloyd George, mogą doprowadzić do pacyfikacji Europy, sam nie wie o tem, że popiera bolszewizm. Tylko te państwa z mniejszych stoją na nogach, które szły o przedewszystkiem własnych siłach, broniąc swych interesów wobec Ententy nie służalczo, ale ze zrozumieniem ich wagi. Rumunja sama rozstrzygnęła sprawy rdzenne, Węgry wymie-

rzyły sobie sprawiedliwość i zyskały spokój wewnętrzny wbrew napomnieniom i strofowaniom. Polacy słuchali ciągle, bezkrytycznie i tracą jedno po drugiem, systematycznie, według fatalnego, ukartowanego planu.

Jeżeli pozwolono sobie na niesprawiedliwość i Śląsk Górny, dzielnicę, która należała się Polsce primo motu, o stokroć wyraźniej, niżeli np. Słowaczyzna — Czechom, obdarzono plebiscytem, jeżeli ten plebiscyt wykonano w warunkach dla nas niesprawiedliwych, przy głośnem sprzyjaniu Włochów i Anglików Niemcom, jeżeli wreszcie nawet projektuje się zgwałcenie wyników plebiscytów mimo zastrzeżeń traktatu wersalskiego, to Polsce grozi nowy rozbiór już nie przez autokratów Rosji, Niemiec i Austrji, ale przez autokratów pieniężnych międzynarodowego mocarstwa. Zabiegi dyplomatyczne stają się fikcją i zakończyć się mogą tylko aktami zrzeczeń się, hańbą narodową

Powstanie śląskie jest żywiołowym ruchem ludowym. Niechaj nikt się nie waży igrać z elementem. Społeczeństwa obowiązek święty jest dostarczać powstańcom żywności i pieniędzy, oraz wszystkiego, czego do walki potrzebować mogą. Szczęściem nie są to czasy Kongresu wiedeńskiego, Talleyranda i Metternicha, które naśladują z takiem niepowodzeniem oczywistem dyplomaci dzisiejsi, którzy sami przehandlowali pokój dla własnych zwycięskich narodów.

Rękawiczki wersalskie nie są stosowne dla ludzi o zgrubiałych od pracy dłoniach. Już się dawne oszustwo nie powiedzie. A gdyby się powiodło, to według zdania Dillona, który przypatrzył się całej tej margarynowej kuchni dyplomatycznej, nieuchronna jest nowa wojna europejska z następstwami zgoła nie dającymi się przewidzieć.

Albo Polska ma siłę narodową, zdecydowaną na wszystko, oprócz nowych traktatów grodzieńskich i w takim razie istnieć musi i będzie, albo skłonna jest ustępować wszystkim i wszystko, wtedy istnieć nie może.

Powstanie śląskie, które nie jest ani konspiracją, ani aktem politycznym rządu, ale decyzją biologiczną ludu, dowodzi, że Polska tę siłę ma.

IGNACY OKSZA GRABOWSKI.

Cykl: „Z POBOJOWISK“.

LAS.

Tchnie wszystko słodką ciszą —
Borówek lśnią rubiny...
Paprocie się kołyszą,
Kraśnieją jarzębiny...

I pieśń pradawną jodły
Wśpiewują w duszę chorą —
Ścieżyny mię tu wiodły —
Uciekam tu przed zmorą...

I w lekkich mgieł potopie
Gra poszum uroczysty —
Wtem — okop — a w okopie
Och! — czapka legjonisty!

Pomięta furażerka —
Z plamą przyschniętą, ciemną...
Z za pni znów widmo zerka...
Uciekam nadaremno...

RZEKA.

We wschodu blaskach ukąpana
Rzeka szeroka się niebieści...
I gędzi fala jej świetlana,
Trzcina nadbrzeżna w rytm szeleści.

Rzeka poszumna piaskom szczodra...
Białe obłoki nad nią płyną —
Przepaska ziemi srebrnomodra
W jasnościach wschodu gra głębiną...

Pieśń oddzwaniają ptaki w haszczu...
A środkiem rzeki w szarym płaszczu
Trup płynie — za nim smuga krwawa...

SZLAKIEM BITEW.

I.

Droga szeroka w białym pyle —
Na piersi ziemi blizna długa —
Suche szeleszczą coś badyle —
Ugór zapomniał dotknięć pługa...

Leżą obrzękłe i rozlane
W gnilne kałuże końskie upy,

A kruki syte, rozkrakane
Obsiadły telegrafu słupy.

Skarżą się kopce koło drogi,
Polnym kamieniem tylko zdobne,
Że był tu pogrzeb tak ubogi,
Że są tak smutne i żałobne.

A ponad polem kruki lecą,
Lecą, aż żer je nowy skupi...
Noga potrąca kość szkielecą...
Zapach mogilny, zapach trupi...

Ciężko nad białą wisi szosą,
Wisi i męczy — dech zapiera...
Mgły lecą w górę — aż się wzniosą
Tam, gdzie nikt więcej nie umiera...

Zapach mogilny, zapach trupi...
Grobowe, milcząc, śnią kamienie...
Każdy z nich, każdy coś odkupi...
Mgły lecą, niby ludzkie cienie...

II.

Idę tą drogą nieskończoną,
Idę, bo pcha mnie własna wola.
Chmury zachodu ogniem płoną,
Wkoło zdeptane, czarne pola.

Idę — bo we mnie miłość płonie,
Niosę ją w piersi, jak sakrament.
Nogi tak bolą — tętnią skronie —
Iść muszę... W głowie szum i zamęt...

Krzyż czarny stoi koło drogi —
Widmowe, długie swe ramiona
Wyciąga... Krwawią się spężogi —
Ktoś krzyknął... Serce czyjeś kona...

Idę przez drogi nieskończone...
Przez długich, długich dni katuszę...
Mgła w oczach, stopy poranione...
Idę, bo chcę — dojdę, bo muszę...

III.

Idę... Czerwienią łun zbroczona
Pustoć się polna wkoło szerzy...

A krzyż wyciąga swe ramiona,
Mijamy go — garstka żołnierzy...
Nas woła bitwa...

Zaduch mogilny, zaduch trupi,
Krzyż nad polami, krzyż ofiarny.

Jako ptak ranny, ma modlitwa
Pada mu do stóp... On odkupi...

Krzyż nad polami wielki, czarny...

Mgła w oczach... Stopy, jak ołowie...

Pytam się... Chryste, kto odpowie?!

Płynie ponura, jak toń Styksu
Na widnokręgu rzeki wstęga,
I oto zamiast krucyfiksu
Wid mi zwiduje się straszliwy;

Szatan na krzyża siadł ramiona,
Aż w krwawe niebo głową sięga,
Na jego czole — dwuróg krzywy,
Swą czarną głową chwieje
I wciąż się śmieje, śmieje, śmieje...

Na widnokręgu słońce kona...

Zaduch mogilny, zaduch trupi...
Nad czernią pól — krzyż czarny...
Szatan na krzyżu — kto odkupi?!

Krzyż rośnie w bezmiar, krzyż cmentarny...

WIZJA.

W królestwie mroku, gdzie rozbłyska
Złowroga gwiazda Lucifera
Z otchłani rzeka krwawa tryska
I rwie się naprzód, szumi, wzbiera,

I w wielkie się rozlewa morze,
Zatapia kraje wał straszliwy,
Wszechziemne ścielą sobie łoże
Fal groźne, purpurowe grzywy.

Pod ciosem fal, jak snop za snopem
Runęły wieków wzniosłe wieże,
Wszystko zginęło pod zatopem,
Ryczy piorunnie krwi bezbrzeże.

Wtem rozstąpiły się odmęty,
Dźwiga się cicho z fal czerwieni —
Tum cały złoty, cały święty
Pełen melodji i promieni.

Stoją wpieszczone w nieba dale
Kolumny, nowych dni obrońce —
Zwolna opadły krwawe fale...
Nad tumem świeci wieczne słońce.

HANNA ZAHORSKA *(Savitri).*

Bracia.

Poniedziałek.

Siedzę przy stole w pełnem świetle lampy i świec i jestem niby sam. Głusza jest wokół mnie, a za oknami noc dość widna, bo księżyc jeszcze nie zaszedł. Takbym się przeszedł po sadzie, odetchnął powietrzem przesyconem wonią bzów i śpiewem słowików! Ale to niepodobna — bo, cóżby się stało potem, kiedy księżyc zajdzie?!

Zresztą już teraz nawet niebezpiecznie byłoby wyjść, bo oni gotowiby pójść za mną, zaczaić się pod temi kwitnącemi gruszami i jabłoniami, gdzie zaskoczyli mnie po raz pierwszy — — a potem rzuciliby się na mnie!

Toteż lepiej nie próbować. Czyż nie wygodniej siedzieć w jasno oświetlonej sypialni i paląc cygaro pisać — pisać tak, na przekór, właśnie o nich? Niech wiedzą, że niewiele sobie robię z ich strasznego towarzystwa!

Tak jest, głupotąby było, poszedłszy teraz do sadu, narazić się na zgubę, bo tam oni mieliby nademną przewagę, podczas gdy tutaj, w tym jasnym pokoju są raczej pod moją władzą — skoro już muszą być ze mną.

Moja służąca, żona stróża tego rozwalonego dworu, w którego dwu zamieszkalnych pokojach tylko ja mieszkam, jest od czasu, jak się to stało — srodze zdumiona, choć właściwie nie wie o niczem.

Zdaje się, podejrzywa mię o silne osłabienie władz umysłowych, co jej wybaczam z całą wyrozumiałością jako, że nie jest pono jedyną z tych ludzi normalnych i trzeźwo

na świat patrzących, którzy mię podejrzywają o podobne rzeczy i dlatego także, że stara — wiem to dobrze — lubi mię bardzo. Obserwuję z wewnętrznem zadowoleniem bez kszty ironji czy złości jej niepokój. Nie może się w ciasnej głowie tej niegdyś klucznicy dworskiej pomieścić, poco świecić prócz lampy świece, które są tutaj drogie! Podpatrzyła widocznie także, że się u mnie przez całą noc pali lampa i trzy dni temu powiedziała do mnie żartobliwie:

— Wczoraj to Pan tak prędko zasnął, że zapomniał zgasić lampę. Chciałam wejść, zagasić, ale się bałam zbudzić. Jeszczeby Pan myślał, że duch jakiej starej baby włóczy się po dworze, żeby straszyć. —

Mówiła coś jeszcze, ale ja korzystając, że się kręciła koło stołu, wyszedłem, żeby ukryć gniew i pomieszanie.

— Jeszczeby tego brakowało! — myślałem z przerażeniem nie mogąc sobie darować lekkomyślności. — Jakże można być tak nieostrożnym! Trzeba, na miłość Boską, zamykać drzwi na klucz, bo cóżby się stało, gdyby baba wtedy rzeczywiście zgasiła lampę!

Innym znów razem groziło mi niebezpieczeństwo także przez nią. Poszło sobie babsko rano na odpust i mimo, że się już robiło ciemno, nie wracało — a tu lampa nienapełniona. Szczęściem zabrałem się dość wcześnie do rzeczy, wynalazłem bańkę i umazawszy się i nakląwszy bez liku, ocaliłem sytuację — — a potem w duszy chichotałem w najlepsze i głośno kpiłem z nich, bo trzeba przyznać, że ta nasza ślepa, niewidzialna walka ma swoje dobre strony. Przynajmniej nie myślę już teraz o haniebnej zdradzie Luśki — tej kobiety, którą naprawdę kochałem i to nietylko jej ciało. Bądź co bądź lepiej mocować się z tymi czarnymi djabłami, niż z myślą o niej upijać się dzień w dzień do nieprzytomności, jak to robiłem z początku — albo w łóżku, zanim narkotyk zacznie działać męczyć się i mozolić bezmiernie pragnieniami i wspomnieniami lub bolesnemi rozważaniami nad jej dziwnem usposobieniem i przedewszystkiem nienasyconą żądzą i bezsilnem pożądaniem jej ciała, które już nigdy nie będzie mojem i jej pieszczot, które mię już nigdy nie rozpłomienią! Choćby się miało ze mną stać najgorsze — to lepiej jest — tak jak jest!

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —



Scena karnawałowa. I. Łuczyńska-Szymanowska.

T. Z. S. P. — Salon 1921.

Dobrze mi robi ta bezładną pisanina, bo czuję, że mię senność i znużenie ogarniają, a w ostatnich czasach sypiałem bardzo mało. Trzeba więc skończyć na dziś i pójść spać...

Aaa! Ziewam przeciągle i triumfalnie, żeby im dokuczyć. Niech wiedzą, że mimo wszystko jestem już dziś wesół i potrafię nad nimi panować. Niech wiedzą ci trzej nędzarze, ci czarni bracia, karły przebrzydłe, że ja, człowiek, jestem silniejszy! Że ja mam broń, mam światło, którem będę razić i gnębić wciąż tych zdradzieckich obszarpańców!

Pójdę już spać, ale wprzód jeszcze muszę im sprawić boleść. Wezmę lampę i oświecę tego, który jest ukryty pod łóżkiem i będę go parzył blaskiem i patrzył jak się będzie zwijał i karlał, a potem pójdę do tego, co waruje za kufrem i zaświecę mu w plugawą mordę, aż się rozedrga, zblednie od lęku, rozwyje od płaczu niemego i skurczy do jednego wąziutkiego pasemka — do jednej cieniutkiej niteczki — — a później pójdę jeszcze z lampą w ręce w kąt, pod piec do tego nalanego, rozlazłego karła, który się tam usadowił i — hahaha — i — kopnę go w plecy. — — —

Wtorek.

Nie dziwię się, że mnie Orłowski z takim zapałem zatrzymywał na kolację. Nudzi się biedaczysko potężnie, więc miałby ochotę pogwarzyć przy kieliszku o tem i owem jak dawniej, zanim odjechał Mrowiec. Przytem, jak wszyscy w miasteczku, domyśla się, że zerwałem z Luśką. Widzę także w jego poczciwych oczach strapienie i chęć przyniesienia mi ulgi — co mię najbardziej złości. Tak jakby mi mogło zależeć rzeczywiście na tej kobiecie i to teraz! Teraz, kiedy stanąłem twarzą w twarz wobec najsroższej walki, wobec tajemnicy, której samo odkrycie jest cudem, a cóż dopiero zwycięstwo, które ja muszę odnieść!

Więc sza, niech sobie poczciwiec myśli, co chce!

Swoją drogą bajeczny miał wyraz twarzy, kiedym się z nim punkt szósta pożegnał (słońce zachodzi teraz koło siódmej) tłumacząc się brakiem czasu: nie mógł sobie wytłumaczyć jak mogę pogardzić półsztofem wódki, ja, którym nigdy propozycji pijatyki nie odrzucił i to dla pisania listów!? Tak, jakbym ich nie mógł w biurze napisać! To wszystko i zdumienie wielkie czytałem w jego rybich źrenicach ściska-

jąc mu rękę na pożegnanie i także jakiś lęk czy mię w czem nie dotknął! Przykro mi było — ale nie mogłem temu zaradzić. Jakże mu było wytłumaczyć? Czyby pojął? Czyby zrozumiał?

Wróciwszy do domu zasiadłem po kolacji przy lampie do książki, którą sobie kazałem umyślnie z miasta przywieźć: to „Mrok“ Andrejewa — ale wkrótce rzuciłem te mdłe perypetje bojowca pośród prostytutek i zacząłem rozmyślać nad tem, co robić dalej?!

Wiem, że trzeba obmyśleć i ułożyć plan. Plan operacyj stanowczych śmiałych i zaczepnych, bo dotychczasowe rezultaty walki mię nie mogą zadowolnić. Jak wódz przed bitwą ogarniam wzrokiem szerokie horyzonty dnia i nocy i na mapie ducha kreślę linje, któremi pójdą me wojska, a każdy zdobyty punkt zaznaczam chorągiewką, na której widnieje mój symbol: białe tło ze wstającem płomiennozłotem słońcem — przyczem dumą mojej strategji jest to, że sam jestem wodzem i żołnierzem i sam dyplomatą, który wywołał tę wojnę — wojnę dla dobra świata i życia!

Serce rośnie we mnie i rozpiera mię duma, kiedy sobie uświadamiam wszystko i zaczynam pojmować, że to co się stało, co uważałem przedtem za grę wypadku a nawet z początku za ułudę i halucynację tylko, stało się z nieuniknionej konieczności mojej duszy, że krótko mówiąc: nie mogło być inaczej, że tak jak jest — jest najlepiej! Znajduję przytem, że to, co się obecnie rozgrywa we mnie i wokół mnie jest ogromnie ciekawe i potężne i czuję, że do mych godności wodza i dyplomaty, trzeba mi jeszcze przyłączyć godność historyka mych czasów — że muszę, ja Cezar nowożytności, spisywać swoje dzieje, żeby przechowała się na zawsze pamięć mych triumfów, mozołów i walk. Trzeba przeto zacząć od początku!

Całą ubiegłą zimę aż do karnawału żyliśmy w najściślejszem kółku z Orłowskim i Mrowcem. Ja i Mrowiec jako koledzy biurowi, Orłowski właściciel folwarku w pobliżu, polubiliśmy się dosyć i dzień w dzień schodziliśmy się u „dziedzica“ wieczorem na kolację i pogawędkę kończącą się nierzadko małem pijaństwem. Z końcem karnawału, w poniedziałek zapustny strzeliło coś Mrowcowi do głowy i zaczął nas namawiać na bal do mieściny o kilka wiorst odległej tak

natarczywie, że wreszcie „zakazawszy konie“ — jak się w tutejszym djalekcie mówi — pojechaliśmy do T.

Do północy pracowaliśmy ochoczo w bufecie, potem poszliśmy tańczyć. Na sali balowej poznałem Luśkę, tańczyłem z nią dużo, byłem natarczywy i zuchwały a alkohol dodawał mi bezczelności i odwagi. Niedługo potem jakoś sklecił się ni z tego ni z owego romans — i trwał do wiosny. Szkodaby czasu i miejsca na kreślenie dziejów naszej ponurej miłości, gdyż niewiele w niej wspólnego z tem, co się dzieje obecnie i co się jeszcze stanie. — —

Środa — rano.

Wczoraj, nagle przerwałem pisaninę, gdyż spoglądnąwszy przez okno, zauważyłem, że księżyc po ostatniej kwadrze zachodzący w nów „już tylko wąziutkim okraweczkiem świeci na niebie“. Zaglądnąłem potem do kalendarza i stwierdziłem, że w sobotę będzie nów! Pierwszy nów od owego strasznego nowiu!

Więc już całe cztery tygodnie od owej nocy!

O n i wciąż jeszcze obawiają się mnie kryjąc się przedemną, chociaż wiem, że, gdyby nie moja wielka ostrożność, załatwiliby się już ze mną! Przytem dostrzegam w sobie wielkie wyczerpanie i znużenie, co jest naturalnym wynikiem napiętej ustawicznie uwagi — tak, że boję się, żeby mnie kiedy nie zaskoczyli nieprzygotowanego! Toteż wczoraj zaraz położyłem się do łóżka i obmyślałem mój plan — ale nadarmo. To tylko jedno wiem napewno, że w sobotę musi być koniec. —

Wieczór.

Tak jest, muszę nareszcie z tem skończyć, choć nie wiem dotąd, w jaki sposób. Muszę jednak coś obmyśleć, bo wiem, że o n i nie czekają! Trzeba działać szybko, zdecydowanie i stanowczo, więc najlepiej będzie, zdawszy sobie sprawę ze wszystkiego co było, sięgnąć jeszcze raz pamięcią wstecz — żeby obmyśleć tem skuteczniejszą strategję.

Otóż, kiedy się skończyło z Luśką, a stało się to niespodzianie skutkiem błahych plotek i naiwnych domysłów, których powtarzać szkoda, przez cały tydzień męczyłem się szukając sposobu nawiązania, wiedząc zarazem, że tego co się stało, nie można odwołać ani zapomnieć i że wszystko

naprózno. Wreszcie, kiedym się już zdecydował pójść „mimo wszystko“ do niej, rozmówić się ostatni raz, nawet poniżyć do prośby — spotkałem zgoła przypadkowo znajomego z tej miejscowości, w której i ona mieszkała, od którego dowiedziałem się o raptownym wyjeździe Luśki. Wtedy zrozumiałem, że wszystko przepadło...

— — Było już po północy, kiedy wracałem do siebie. Znacznej ilości wódki, którą zwyczajem wszystkich zawiedzionych lub zdradzonych kochanków usiłowałem zalać zgryzotę i ból — nie czułem zupełnie. Owszem było mi bardzo dobrze. Szedłem pewnie mimo kompletnych ciemności, gwiżdżąc i śpiewając, a duszę wypełniała mi jakaś wielka radość. Zdawało mi się oto, że jakaś światłość gorąca i dobra weszła we mnie i płonie i grzeje, wypalając swym płomiennym tchem boleść rozstania i fatalne piętno zniewagi.

Znajomą dziurą w parkanie, dla skrócenia drogi wszedłem w sad dworski, głuchy, mroczny, uroczysty i groźny — — i wtedy nagle zmieniło się wszystko.

Kamień trącony moją nogą usunął się bezszelestnie jakby spadł w bezdenną przepaść. Cisza zadzwoniła w uszach pustym dzwonem, a przed oczy, gdym w zdumieniu ustawicznie tężejącem i przekształcającem się w lęk przystanął i zatopił wzrok w niepojętym kirze przestrzeni — wystąpiły jakoweś błyski bezbarwne a tylko jasne niby skłębione plamy prześwietlone od zewnątrz, jakieś wytryski białego ognia, mętne kształty czegoś, co określić możnaby tem tylko, że było świadome — — i jeszcze uczułem jakby mi twarzy i rąk i całego ciała pod ubraniem i bielizną dotknęło mnóstwo rąk — — tysiąc palców chłodnych i lepkich — — poczem — ale już całkiem wyraźnie i niewątpliwie — poczułem, jakby dwie lekkie postaci uczepiwszy się obu mych rąk, zwisły całym swym ciężarem do ziemi, a trzecia usadowiła mi się na plecach pochylając mię wprzód. — — Uszedłszy bezwiednie kilka kroków pojąłem nagle wszystko — wszystko co się dokonało w tym najstraszliwszym momencie mojego życia — — nie powiedział mi tego nikt, nie słyszałem nigdy o czemś podobnem, nie poszepnął mi tego ani wiatr, który zerwał się nagle, ani senne marzenie opaczne, bo nie miewam snów — — chyba To, co jest ponad nami i światem. — — —

..I zrozumiałem w tej chwili najkompletniej wszystko;

każdy moment i każdy szczegół i wiem... wiem wszystko: Oto podglądnąłem w tym najmroczniejszym kącie Noc, straszną tysiącoką, potworną Marę i spojrzałem w jej niepojętą twarz. Stało się ze mną coś podobnego, co z owym strzelcem, co śmiał podpatrzeć boginię księżyca, Dyjanę. Demon bytujący od zachodu do wschodu, potężny i bezprzestrzenny, płodzący bezliku czarnych braci mroku, natknął na mnie, przytknął twarz do mej twarzy, zmierzył się ze mną spojrzeniem, a może wszedł we mnie przez oczy w głąb mózgu i duszy. — — —
— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Napół przytomny, padając pod ich ciężarem, szedłem dalej, a oni, ci trzej czarni bracia towarzyszyli mi wciąż. Niespodziewanie, kiedym już miał paść ze znużenia i wyczerpania na wilgotne trawy i nie wstawać już i cały oddać się ich przemocy — zamajaczyły przedemną na czarnem tle nieba jeszcze czarniejszym kantem zręby dachu i za chwilę byłem u siebie.
— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Drżąc, spotniałemi palcami wyjmowałem zapałki ze stolika, mimo, że oni wszedłszy za mną, przeszkadzali mi plącząc me kroki i ręce w gęstym, stygnącym płynie swych ciał, przyczem zrozumiałem jasno, że mię już nie będą chcieli porzucić ci trzej synowie znieważonej nocy, że się zaczyna walka na śmierć i życie — —

Z rosnącą zgrozą i lękiem ale zarazem z bezgraniczną, bezpamiętną ciekawością potarłem zapałkę o szorstką powierzchnię pudełka — — trzepnął biały blask, zamigotało różowe światełko — — i wtedy — — ujrzałem ich wreszcie! Ujrzałem rozbiegane, krągłe, błyszczące źrenice, ukośne, jadowite spojrzenia zwarły się z mojemi, poczem drobne, sięgające mi do bioder postacie z piskiem i zgrzytem, tnąc wygiętemi łukami pleców blask, na czworakach rozbiegły się wokół. — — —

(d, n.). *ADAM SZCZERBOWSKI.*

Mój znajomy.

(Zamiast artykułu).

Zauważyłem podczas uroczystości w dniu 3 maja, że jeden z moich znajomych nie wywiesił dywana na swoim balkonie. Wyłamuję się natychmiast z węża pochodu i pędzę, do owego znajomego żądać wyjaśnienia.

Zastaję go, przedewszystkiem, przy pracy. Wziął jakąś biurową robotę do domu.

Nie podając mu ręki, zawołałem:

— Panie, pan się w dniu takim hańbi pracą i nie wywiesił pan nawet dywana!

Znajomy mój spojrzał spokojnie na mnie, widać, że nie zdziwiły go wcale takie słowa, przypuszczałem więc, że poczuwa się chyba do winy.

— Narodowe święto Konstytucji — rzekł do mnie powoli i dobitnie — jest dla mnie zbyt drogą pamiątką bym miał je lekceważyć. Nazwane Świętem Pracy, jak dla ironji, wypada w czasie, gdy okres ośmiodniowy dał nam, włączając w to niedziele, cztery święta a jeszcze szczęśliwie się złożyło, że dziwnym zbiegiem okoliczności 1 maja i św. Stanisław przypadł na niedzielę i rocznica napoleońska w dniu Wniebowstąpienia, inaczej w okresie tym mielibyśmy tylko jeden dzień roboczy, a dzięki Bogu, mamy ich aż... cztery!

— Czyż to nie dosyć? — przerwałem swojemu rozmówcy.

Nie odpowiedział mi na to i ciągnął dalej swoją tyradę:

— Proszę pana, czy nie możnaby np. niektórych świąt przenosić na niedzielę? Ale u nas są takie tendencje, że gdy jaka uroczystość, ku rozpaczy próżniaków czystej krwi polskiej, wypadnie w niedzielę, chciałoby się ją przenieść na dzień następny...

Tu już nie mogłem wytrzymać i przerwałem:

— Żeby, dla powagi, uroczystość była „sama w sobie".

— I — dodał z uśmiechem mój znajomy — „dublowała" niedzielę. Trzeci maj zbyt doniosłą jest datą, żeby ośmieszać ją nierozważnie. Nazwano dzień ten świętem pracy a we wszystkich arterjach życia praca się przerywa i w dniu tym zamiera. W tak uroczystym dniu ze zdwojoną energją każdy winien pracować, pamiętając, że pracą swą przyczynia się do budownictwa ojczystego.

Dalej jeszcze idę. Proponowałbym żeby w dniu tym zapracowane pieniądze każdy składał w ofierze na fundację narodową, którąby tym sposobem powstała z naszej właśnie pracy ku uczczeniu drogiej nam, wielkiej daty 3 maja.

— Dobrze — rzekłem — może pan ma rację, ale to jest strona, że tak powiem, wewnętrzna uroczystości, a wszak i o zewnętrznej stronie jak pochody, akademje, zebrania nie można zapominać, to podnosi nastrój, dodaje ciepła.

— Tak, niezawodnie, ma pan słuszność, ale jakże łatwo bez uszczerbku dla pracy z tego wybrnąć.

Zdziwiony spojrzałem na niego.

— Pochody, wiece i t. d. — mówił tym samym spokojnym tonem—przenosi się na najbliższą niedzielę. Uważa pan — tu zaczął się jakby zapalać — jakie byłoby to nadzwyczajne święto, jakie inne, jak inaczej i poważniej pojęte. Byłyby dwa dni świąt, rozumie pan, dwa dni! a praca nie ucierpiałaby, przeciwnie, przez zapał jej w pierwszym dniu, zyskałaby nawet, a drugi dzień święta — niedziela, jakże byłby nam miły po tamtym.

Trudno mi było narazie znaleść jakiś argument żeby odpowiedzieć, chwyciłem się jednak, jak deski zbawienia, owego niewywieszonego dywana.

— No, to wszystko dobrze — rzekłem — ale pan ma tak ładny dywan i nie wywiesił go na balkonie, wszak to już nic z pracą nie ma wspólnego, można byłoby przecież tym sposobem zaakcentować, podkreślić...

— Słuszna uwaga — odpowiedział — ale wstrzymałem się z tem jeszcze, mam do tego powody i to dość poważnej natury.

Zdziwiony spojrzałem na niego; mówił dalej:

— Widzi pan, nie jestem pewien jeszcze, czy nie skorzystają z okazji żeby zrobić drugie jeszcze święto konstytucji obecnie uchwalonej, w dniu 17 marca, i tym sposobem jeszcze jeden dzień roboczy wyrwać nam z roku. Więcej jak raz na rok dywanów wywieszać nie będę, a muszę wiedzieć czy mam to czynić 3 maja czy 17 marca. Skoro się upewnię, że rocznica będzie jedna, kupię sobie na tę pamiątkę jeszcze drugi dywan i obydwa dywany w dniu tym, w dniu jednym z największą przyjemnością i rozkoszą wywieszać będę.

Widząc moją zakłopotaną minę, uśmiechnął się i dorzucił

— A w końcu dodam, że po święcie należy brać się ze zdwojonym zapałem do pracy, żeby czas stracony odpowiednio powetować!

— Rozumie się — zawołałem, rad, że mogę znaleść słowo odpowiedzi — wypoczynek powinien być zadatkiem tem intensywniejszej pracy.

Jeszcze raz się uśmiechnął, lecz już jakby z ironją:

— Piękna sentencja. Lecz zauważę jeszcze, że u nas w Polsce jest to sprawa nie tak łatwa do urzeczywistnienia, bo po święcie następuje nowe święto, po uroczystości nowa uroczystość, po obchodzie nowy obchód i na wprowadzenie w życie pobożnych intencyj czasu niema a kto go znajdzie, temu można ofiarować konia z rzędem.

Nic nie odrzekłem, pożegnałem mojego znajomego a idąc do domu, innym jakimś wzrokiem patrzałem na majową zieloność drzew i jakby inaczej chłonąłem wiosenne, ciepłe, ożywcze powietrze. Od błękitów pogodnego nieba szły tajemne fale z szeptem nieznanym a nowym: „praca... praca... praca...“, budząc świeże refleksje w mym mózgu o polskiej wiośnie, która zmartwychwstała po śniegowych zamieciach ciężkiej zimy, która po skuwających lodową martwotą mroźnych podmuchach północy, gdy szły od tajg syberyjskich, po raz pierwszy ciepłym swym pocałunkiem pobudziła soki ożywcze aż tętna bić zaczęły i serca wraz uderzyły w złotej pieszczocie fal promieni słonecznych.

Spragnione łono ziemi czeka na ziarno, na siew, na dobrą robotę...

Świętokradztwem jest choćby jeden dzień o wiośnie tej zmarnotrawić...

Nagle poczułem, straszliwy ból w głowie — to otrzeźwiło mnie. Uderzyłem się czołem o latarnię, rozwiała się fatamorgana...

Zakląłem siarczyście...

Wszystkiemu winna... praca. Nawet snów o niej roić nie można, bo nasze fatum narodowe mści się za to w sposób tak bolesny.

Postanowiłem błąd naprawić.

Nie wolno dążyć przeciw prądowi.

Nie wolno być renegatem i postępować wbrew nakazom



Portret dziecka. Tadeusz Pruszkowski.

promieniującym z pierwiastka naszego charakteru. Od dziś będę apelował by powołano komisję, która zajęłaby się odszukaniem i przywróceniem tych wszystkich świąt, które kiedykolwiek i gdziekolwiek skasowane były.

A co na to powie mój znajomy?

Zresztą, jest mi to obojętne, od dziś znać go już nie będę. Nie myślę przecież po raz drugi... oberwać guza.

WALENTY ZIELIŃSKI.

Związki Strzeleckie.

III.

O wolność i dla obrony swych granic walczy cały naród. Jeżeli tak jest, — a dowiodła tego wojna wszechświatowa, — rozszerza się i wzrasta niezmiernie zadanie i znaczenie wojska. Obywatel kraju uczy się w wojsku nie tylko władania bronią i rozlicznymi środkami bojowymi, on się przedewszystkiem wychowuje na obrońcę ojczyzny. Wojsko dokonywa zaś tego zadania na podstawie tych właściwości i warunków, które łączą się z mundurem, życiem odrębnem żołnierza i rozkazem, którego bezwzględnie słuchać musi.

W Polsce, gdzie wszystko się tworzy od początku, a warunki naszego bytu politycznego i społecznego wymagają, by wszystko było od razu gotowe, powyższe zadania wojska rozstrzygające mają znaczenie. Nie każdy młodzieniec będzie miał wykształcenie szkolne, przynajmniej w latach najbliższych, ale każdy musi służyć w wojsku i kształcić się w czasie pokoju nie tylko na żołnierza, ale również i na obywatela.

Dziś z powodu niedomagań naszych kulturalnych i oświatowych w najlepszym wypadku wszystko, co nas otacza i w czem żyjemy, jest szkołą. Uczą się ministrowie, urzędnicy, inteligencja zawodowa, robotnicy, uczą wolni obywatele wszelkich stanów, i to podwójnie: raz w tym fachu, w którym pracują i z którego żyją, drugi raz uczą się polskości, obywatelstwa, miłości ojczyzny. O ile ta nauka mniej lub więcej jest dobrowolna w życiu prywatnem, w wojsku jest obowiązkowa. I dla tego na ogólne wychowanie rekruta kładzie się w czasie pokoju większy nacisk, niż na jego wyszkolenie w mustrze i władaniu bronią, dla tego znajdujemy w naszej armji podoficerów i oficerów oświatowych już w najmniejszych jednostkach wojskowych.

Posłuszeństwo, obowiązkowość, punktualność, sumienność, czystość, godność osobista i poczucie swego stanowiska w kraju, —

oto właściwości ogólne, które żołnierz winien zabrać z sobą z wojska w życie prywatne. Do tego dochodzi jeszcze cały szereg wiadomości etycznych i praktycznych, wreszcie sama nauka, której nie mógł nabyć w szkole.

Jeżeli nam dziś jeszcze daleko do tego ideału, w każdym razie zawiera go w sobie program wychowania żołnierza. Z chwilą gdy wyjdzie z wojska, nie ma on iść na lep rozmaitych apostołów politycznych i zatracić się w wirze walk partyjnych, w których jest tylko cyfrowym pionkiem, ale czuć się najpierw sługą kraju i uświadomionym jego obywatelem.

Jest jasnem, że społeczeństwo nie powinno psuć i paczyć tego dorobku młodego obywatelstwa. Samo jest już na dobrej drodze, przekonawszy się, że uprawianie polityki partyjnej ze szkodą dla kraju nie jest wyłącznem zadaniem Polaka. Żołnierz więc, ten obecny czy przyszły obrońca Polski, musi u ogółu, który nim już być niemógł, znaleść tego rodzaju opiekę, aby nie zatracił właściwości, wyniesionych z wojska, ale je pogłębił i utrwalił.

To jest zadaniem związków strzeleckich w Szwajcarji i z tego punktu widzenia wychodzili założyciele Bractwa Strzelców Kurkowych w Warszawie, którego statut zatwierdzony został 10 stycznia 1921 r. przez M. S. Wewnętrznych, po uprzedniej zgodzie M. S. Wojskowych. Celem jego jest:

„wskrzeszenie i utrzymanie tradycji i zwyczajów starodawnego bractwa strzeleckiego, branie czujnego i czynnego udziału w życiu społecznem i narodowem, popieranie wychowania młodzieży w duchu patrjotycznym i rycerskim, zespolenie obywatelstwa Warszawy celem ochrony polskiego charakteru stolicy oraz zgodne i braterskie współżycie".

Powyższe cele zaś osiąga Bractwo Strzelców Kurkowych przez:

„1) ćwiczenie w władaniu bronią i strzelanie do celu w odpowiednio urządzonej strzelnicy,

2) zebrania pouczające i towarzyskie,

3) udział w uroczystościach narodowych,

4) tworzenie oddziałów ćwiczącej się w strzelaniu i mustrze młodzieży, budzenie i pielęgnowanie w niej ducha narodowego".

W tych dwu krótkich zdaniach wyraża się cała treść programu wskrzeszonego po 170 latach Bractwa, które ze względu na tradycję i swój charakter społeczny zatrzymało dawną nazwę, chociaż z cechu mieszczańskiego przeobraziło się w organizację społeczną.

Obecnie mają w niej znaleść się wszyscy obywatele nieposzlakowanego charakteru, którzy teoretycznie i praktycznie pragną zapoznać się z bronią i tę swoją nabytą znajomość w odpowiednich chwilach pokazywać również na zewnątrz. A obok nich ma stanąć młodzież, która nabyła jeszcze

przed służbą wojskową w Bractwie wstępne do niej przygotowanie. W podobny sposób cała młodzież szwajcarska i szwedzka wdraża się w rygor wojskowy, który ani trochę jej nie przeraża, ale raczej przyciąga. Wojsko odnosi tę korzyść, że służba odbywać się może w tempie przyspieszonem, a społeczeństwo i państwo, że wojsko milicyjne czy kadrowe znacznie mniej zużywa pieniędzy i czasu.

Bractwo Strzelców Kurkowych jest szkołą użycia broni palnej, przyczem musztra i sposób strzelania winien być przystosowany szczegółowo do obowiązującego w wojsku, co wynika jasno z samego założenia. Wobec tego zaś, że znaczenie karabinu pod względem taktycznym i bojowym znacznie zmalało, Bractwo będzie musiało pomyśleć również o ćwiczeniu swych członków w strzelaniu z karabinu maszynowego tak jak krakowianie i lwowianie strzelali z armat!

Bractwo jest wreszcie szkołą poczucia i obowiązku obywatelskiego. Potrzebują go zarówno starsi jak młodsi. Można nie podzielać zdania prof. A. Brücknera, że każdy słowianin jest urodzonym anarchistą, nie można jednak zaprzeczyć, że każdy Polak jest zbyt silnym indywidualistą. Potrzeba nam zarówno karności myślenia jak i czynu, potrzeba obowiązkowości i sumienności w każdem poczynaniu.

Wskrzeszona na nowo stara organizacja strzelecka, wierna tradycji aczkolwiek w zastosowaniu do wymagań współczesnych, dąży do wyrobienia w swych członkach tej tak nam potrzebnej karności, a co za tem idzie, podporządkowania swej indywidualności i swego egoizmu idei społecznej, t. j. miłości bliźniego i ojczyzny.

Bractwo Strzelców Kurkowych winno uważać za swój cel połączenie się z wszystkiemi organizacjami o pokrewnych celach, przyczem stawia tylko jeden warunek: aby nie były polityczno-partyjne, lecz narodowe. Za wzorem Warszawy kraj cały, podobnie jak Szwajcarja, winien pokryć się siecią bractw, wojsko dostarczyć im — podobnie jak w Szwecji i Szwajcarji — karabinów i instruktorów, a rząd opieki.

Są to zadania, jak na nasze stosunki kulturalne, obliczone na daleką metę. A jednak nie może Polska pozostać w tyle poza ogólnym prądem, lecz uogólnić winniśmy to tylko, co tkwi w naszej tradycji. Rozszerzać tę piękną ideę i samemu służyć dobrym przykładem, będzie objawem naszego postępu i rozwoju.

I wystawmy sobie, jaką radością napełni się serce każdego patrjoty, jeżeli za lat kilkanaście przejeżdżając przez nasze wsie i miasteczka, zobaczy niedorostków i poważnych obywateli ćwiczących się w mustrze i strzelaniu popołudniu w święta i niedziele, które niestety giną dotąd w próżniactwie i hulankach.

A wtedy ogół z spokojem będzie patrzał w przyszłość,

wiedząc że sam czuwa nad wolnością i bezpieczeństwem kraju. Żołnierz będzie obywatelem i obywatel żołnierzem i zniknie wszystko to, co dzieli i osłabia społeczeństwo polskie. Do tego dążyć winniśmy wszyscy wspólnemi siłami.

TADEUSZ JAWORSKI.

Camera lucida.

NADZWYCZAJNA UROCZYSTOŚĆ.

Mieliśmy różne galówki, uroczystości i t. p. z flagami lub bez flag, z artykułami prasy, podniecającymi działalność serca, jak nikotyna z papierosa, lub bez nich, ale uroczystość najsolenniejsza, najpotężniejsza, jaka może wogóle zdarzyć się w Polsce przeszła bez okrzyków tłumu i bez fanfar.

Trzeba usprawiedliwić społeczeństwo tym, że o niej nie wiedziało.

Więc jakaż? Odjazd dwóch tysięcy żydów do Palestyny.

I na dworcu kolejowym nie było deputacyj pożegnalnych, muzyka nie grała: „jeszcze Palestyna nie zginęła", żaden radca miejski ani ziemski, ani przedstawiciel ministerjum nie wygłosił mowy! „Ty spisz Polsko" rzeknijmy jak Kasjusz do Brutusa z wyrzutem. I gazety ani mru-mru. I poeta Or-Ot nie napisał wiersza.- Co się dzieje w tej Warszawie?

Zaiste poeci nasi nie są na miarę Jeremiasza.

A można było, — taka sposobność.

„Żegnaj ludu wybrany, tułaczu, który powracasz do ojczyzny.

Żegnamy ciebie łzami radości, cieszymy się twojem szczęściem.

Niechaj Córy twoje kwitną w Jerusalem, jak róże jerychońskie, niechaj kozy twoje na stokach Libanu trzy razy do roku wydają koźlęta, niechaj cherubimy i serafiny na skrzydłach przynoszą ci setne od dłużników procenty, niechaj wszystkie wielbłądy i konie arabskie rżą na twoich stajniach. Rozwijajcie i rozmnażajcie się, a czemprędzej przysyłajcie Eisenbahn i Schiffkarty nieszczęsnym rodakom waszym, którzy w Polsce pozostali. Zarażają się oni od gojów różnymi chorobami, próżniactwem, lekkomylnością, niewiarą i stają się jak bezpłodne muły, ani osły, ani konie.

„O Jahwe! cóż ty masz do czynienia w Polsce, w kraju świń, gdzie używają imienia Boga, każdy dzień, po dziesięciokroć nadaremno. Rozkazałeś nam ją rozłożyć, stoczyć, zniszczyć. Już dokonane! My przysięgamy na Torę, oni nie mają już na co przysięgać. I jeżeliby się znalazł tutaj choć jeden sprawiedliwy, to niema głosu jak słup soli, bo jeszcze się za siebie ogląda".

. . . .

Pociąg z syjonistami ruszył. Z okna wagonu wychyliła się mocno obfita broda i para zapalonych oczów. Krzyknął!

„Ryfke, jak się waluta poprawi, ty zaraz telegrafuj!

Igr.

Z literatury włoskiej.

Jan Papini: Historja Chrystusa.

(Storia di Cristo, Vallecchiedit. Firenze 1921. str. 620).

Niebywałą sensacją literackiego świata Włoch stała się ostatnia książka Papiniego. Miesiąc temu zaledwie wyszła we Florencji „Historja Chrystusa", a w trzy tygodnie rozeszło się 20 tysięcy egzemplarzy pierwszego jej nakładu.

Przeciwnicy autora, a tych ma Papini więcej może niż w Polsce, otwierali książkę tą z przeświadczeniem, że będzie ona jednem więcej bluźnierstwem rzuconem w czczoną postać Rabiego z Galileji — sympatycy spodziewali się znaleść w niej kontynuację „Pamiętników Pana Boga", przenikliwość niezrównanej dialektyki, doskonale zbudowany sofizmat, żądło satyry. Jedni i drudzy nieskończenie się zawiedli, bo oto odczytali dziwny hymn żarliwej miłości, wiary mistycznej i głębokiej pokory.

Jan Papini nawrócił się.

I przedtem, nim bogobojny p. minister sprawiedliwości Nowodworski zdążył zastosować paragrafy starej ustawy do dzieła sztuki i — nim p. Rzymowski w otwartym liście do Papiniego tragicznie rozdarłszy szaty, z patosem, godnym lepszej sprawy, starał się zohydzić imię Polski — sam Papini rzucił wyrok potępienia na swoją przeszłość literacką.

Najdziwniejszy do niedawna szermierz, skrajny indywidualista, futurysta i pragmatysta pisze wielkie, 620 stron liczące dzieło „zbudowania", dzieło „poprawy ludzkości". Z naiwną szczerością wyznaje, że jeszcze przed sześciu laty miotał najstraszniejsze może obelgi przeciwko temu, w którym odnalazł dzisiaj ziszczenie się ideału swojej etyki. Zachwyt wzbudzają w nim surowe przykazania ewangeliczne, które nakazują nie reagować na krzywdę i drugi bijącemu nastawić policzek. Pojęcie cudu staje się dla niego odżywczem źródłem miłości i poezji.

W przedmowie zapewnia czytelnika, że chodzi mu więcej o prawdę, niżeli o piękno, piękno jednak przedziwne bije od pierwszego motywu, do ekstatycznych hymnów, do wizyj Chrystusa wyzwoliciela i triumfatora.

W odnalezionej swej głębokiej i ślepej wierze rekonstruuje postać Chrystusową słowami pełnymi najdziwniejszego czaru. Zatapia się w jego posłannictwo, widzi w oddaleniu się od ewangelji śmierć ducha ludzkiego i w końcu woła natchnionym, kazalnym głosem: „Cóż nam opuszczonym teraz pozostało, jeżeli nie nadzieja powrotu Twego, o Chryste. A jeżeli nie przybędziesz obudzić śpiących, zagrzebanych w cuchnącem błocie naszego piekła, znak to, że kara za zdradę naszą zda Ci się zbyt krótka i lekka i, że niechcesz odmienić twych praw porządku".

Niejednemu wyda się zbyt głęboką może przepaść między Papinim wczorajszym a dzisiejszym. Czy jednak tak jest w istocie? Czy nie zmieniły się tu jeno momenty psychologiczne, czy nie pozostał jednakim wielki artysta?

Wykładnikiem wszelkiego postępu jest zmiana, wiedział już dobrze o tem ów mędrzec helleński, który przed wiekami wyrzekł te słowa:

„Wszystko płynie, a nic nie czeka i w ten sam strumień raz drugi nie wejdziesz".

Piotr Grzegorczyk.

BIBLJOGRAFJA.

Książki nadesłane do Redakcji.

Dr. Konarski K. O żołnierzu polskim. Krótki rzut oka na dzieje wojska polskiego. Wyd. II Str. 24. Wyd. M. Arcta. Warszawa 1921.

Ledoux P. 50 lekcji przygotowawczych z nauk przyrodniczych. Cz. II. Ziemia uprawna i świat roślinny. Z 70 rycinami Str. 124.

Toż Cz. III i IV Zwierzęta i człowiek. Z. 82 rys. Str. 148. Wyd. M. Arcta. Warszawa 1921.

Męczkowska T. i *Rychterówna St.* Metodyka przyrodoznactwa. Wskazówki praktyczne dla nauczycieli seminarjów, szkół powszechnych i średnich. Wyd. II. Wyd. M. Arcta. Warszawa 1921.

Śliwiński Ar. Konstytucja trzeciego maja. Wyd. III powiększone, z 6-ma portretami. Str. 100. Wyd. M. Arcta. Warszawa 1921.

Szereg popularnych monografji historycznych Ar. Sliwińskiego powiększa praca niniejsza, która powstała przez znaczne powiększenie wydania poprzedniego. Nieśmiertelna chwila uchwalenia konstytucji 3-go maja, pod barwnym piórem Ar. Śliwińskiego nabiera matejkowego kolorytu i czyni imponujące wrażenie na czytelniku.

Szober St. Gramatyka polska w ćwiczeniach. Podręcznik dla szkół powszechnych i klas niższych szkół średnich. Zt. III Wyd. II Str. 118. Wyd. M. Arcta. Warszawa 1921.

Weryho M. Cztery pory roku w pogadankach z dziećmi w domu ochronie. Cz. I. Jesień Wyd. III Str. 80.

Toż. Cz. IV Lato. Wyd. III Str. 84. Wyd. M. Arcta. Warszawa 1921.

Treść zeszytu IX-go.

Warunki prenumeraty:

W stolicy i w kraju: Kwart. Mk. 200. Za gran. i w Ameryce: Kwart. Mk. 340 Dolicza się kwart. w Warsz. za odnosz. Mk. 20, w kraju za przes. pocz. Mk. 40 zagranicą i w Ameryce Mk. 60. — Cena oddzielnego zeszytu Mk. 40

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności № 38.

POLSKI POSTERUNEK WYDAWNICZY „PLACÓWKA"

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, Nowy-Świat № 40. Telefon 319-87.

Redaktor Naczelny wydawnictw Polsk. Poster. Wyd. „Placówka": WALENTY ZIELIŃSKI.

Członkowie Komitetu Redakcyjnego: IGNACY GRABOWSKI, GUSTAW OLECHOWSKI, STANISŁAW PIEŃKOWSKI.

№ 4350. 1200. 30.IV.1921. ZAKŁADY GRAFICZNE M. S. WOJSK.